Nr. 48. Lwów — Niedziela dnia 28 Lutego. **Rok 1892.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty.

We Lwowie bez dostawy		Na Prowincyi z przesyłką pocztową	
Miesięcznie	zł. 75 ct.	Miesięcznie	zł. 1·10
Kwartalnie	2 „ 25 „	Dwumies.	„ 2·10
Półrocznie	4 „ 50 „	Kwartalnie	„ 3·—
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	„ 12·—

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inne się nie przyjmują.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracyi „Przeglądu“ we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują
Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 3.
„ przy ul. Karola Ludwika 5
„ „ ul. Jagiellońskiej liczba 4
„ „ ul. Słowackiego (obok łazienek Dianny)
Biuro dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: C. Zapust. ś. Leandr. N. Syrop Hł. 3
Jutro: św. Romana Op. Teodora

Adres Redakcyi i Administracyi: **ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 6 m. 52, Zachód „ „ 5 „ 36

Długość dnia g. 10 m. 44, Przybyło dnia 2 m.

Upraszamy pp abonentów z prowincyi o wczesne odnawianie prenumeraty. Wynosi ona na prowincyi miesięcznie 1 złr. 10 ct., dwumiesięcznie 2 złr 10 ct., kwartalnie 3 złr.

Przegląd polityczny.

Lwów 27 lutego.

Nazajutrz z rana po mowie cesarza Wilhelma w bankietowej sali brandenburskiego sejmu wybuchły na ulicach berlińskich rozruchy. Wrzaskom tłumów, które się wzburzyły bez żadnych widocznych powodów, wtórowały nadzwyczaj aroganckie wrzaski liberalnej prasy na tę mowę cesarską. Czyni to na nas takie wrażenie, jak gdyby między treścią tych dzienników a uliczną burzą był taki stosunek, jak między partyturą a wykonaniem. W ekonomicznym stanie stolicy napróżno szukać przyczyny rozruchów. Skoro już się tłumy zebrały dla hec, to coś krzyczeć muszą, więc krzyczały: „Chleba! pracy!“ ale ani roboty, ani pożywienia bynajmniej im nie zabrakło jakby na skinienie czarodziejskiej laski. Takiemi okrzykami posługuje się wszędzie socyalistyczna anarchia, więc możnaby mniemać, że owe burdy uliczne, to jej robota; lecz socyalistyczni deputowani w parlamencie uroczyście wyparli się udziału w tej sprawie, oświadczyli wręcz, że rozruchy nie mają nic wspólnego z socyalizmem To jest bardzo ważne świadectwo, bo jako zupełnie dobrowolne i niewywołane żadnym zarzutem, skierowanym przeciw socyalistom, pozwala domyślać się, że im szło o zrobienie wskazówki, iż gdzieindziej trzeba szukać sprawców zaburzeń. Podobny głos odezwał się także ze strony wbrew przeciwnej, bo z półurzędowej *Norddeutscherki*, która w jednym artykule splotła bankietową mowę cesarza i rozruchy uliczne, jako fakta, mające ze sobą związek. Tak tedy, jako na intelektualnych sprawców zaburzeń, wskazują na tych „obcych“, którym cesarz Wilhelm doradził „otrzepać niemiecki pył ze swych pantofli“. Jeśli to rzeczywiście oni, to nie sądzimy, żeby w ciągu jednej nocy zdołali podnieść tłumy. Prawdopodobniej jest, że te ekscesy już były przygotowane, jako dalszy ciąg agitacyi przeciw ustawie szkolnej. Mniej więcej od tygodnia dostrzegano silne wzburzenie w bezwyznaniowych sferach, albowiem komisya parlamentarna w poprawkach projektu szkolnego szła jeszcze dalej w kierunku wyznaniowym, niż minister Zedlitz. Paragraf 16, mówiący o zachowaniu szkół symultannych tam, gdzie tego będą życzyły gminy, komisya przerobiła tak, iż gminom będzie bardzo trudno korzystać z tego prawa. Już wówczas — a było to przed pięciu dniami — *National Ztg.* rzuciła frazes, że „naród potrafi się bronić“.

Samo przemówienie cesarza Wilhelma traktują „wieczni krytycy“ i „malkontenci“ bardzo oryginalnie. Jadowicie napadają na cesarza, szydzą nawet, mówiąc, że silniejsza konstytucya, jak.. „gruszki na wierzbie“, — a gruszkami podług nich są te słowa cesarza: „Poprowadzę was jeszcze do wspaniałych dni“ — wreszcie rozpisują się dużo o „despotycznych zachciankach“ i o tem, że trudno być w jednej osobie cesarzem i prorokiem. Ale nigdzie, ani jednem słowem, nie domyślają się, że cesarz mówił o nich, a ponieważ koniecznie trzeba wskazać publiczności o kim to przedewszystkiem myślał cesarz, przeto skierowali palce na Bismarka. On to ma być owym „obcym“, który powinien otrzepać swe pantofle z niemieckiego pyłu. Na nieszczęście Bismark jest Niemcem, a pantofle nie są narodowym strojem germańskiego plemienia. Bardzo niezręczne jest to wskazywanie Bismarka, który zresztą w ostatnich czasach zachowuje się jak prawdziwy pustelnik, ale milczenie pantoflarzy o sobie dowodzi ich sprytu.

W końcu musimy jeszcze nadmienić, że prasa katolicka i konserwatywna w Niemczech bardzo serdecznie odezwała się o przemówieniu cesarza Wilhelma. Tak tedy rozdział opinii zaznaczył się bardzo wyraźnie i stanowczo. To daje niejakie pojęcie o bezpośredniej przyszłości Niemiec.

Powstał nareszcie gabinet we Francyi. Szefem jego jest „mąż z konieczności“, senator Loubet, któremu się udało zatrzymać w gabinecie trzech najważniejszych ministrów: Ribota, o którym rosyjski ambasador podobno wyraźnie oświadczył, że pozostanie jego na stanowisku ministra spraw zagranicznych jest warunkiem utrzymania sojuszu z Rosyą; dalej Freycineta, jako ministra wojny, którego bezwarunkowo żądało wojsko i to oświadczyło mu przez osobną deputacyę, złożoną z jenerałów; wreszcie ministra finansów Rouviera, za którym w imieniu kapitalistów wstawił się Alfons Rotszyld, rzekłszy Carnotowi bez ceremonii, że pójdzie z tym finansistą, albo z żadnym.

Tak tedy po raz pierwszy w republice francuskiej widzimy, że czynniki, zgoła niepowołane ustawodawczo, zaczęły stawiać swoje kategoryczne warunki, a prezydent republiki i parlament musieli pochylić głowy przed ich żądaniami. Rosya wskazała kogo chce mieć w republice ministrem spraw zagranicznych; giełda przez swego króla zamianowała ministra finansów; a wojsko przeparło nominacyę swego faworyta. Cała ta historya jest tedy poniżeniem parlamentu i naczelnika państwa, jest nowym krokiem do rozkładu. Przy innej sposobności Francya, nawet republikańska, może zdoła jeszcze odeprzeć uroszczenia rosyjskie i giełdowe, więc teraźniejsza dyktatorska rola baronów Mohrenheima i Rotszylda nie jest jeszcze ostatecznem nieszczęściem Francyi, ale to, że wojsko zaczęło wybierać sobie ministra jest wypadkiem niebezpiecznym, bo stąd już niedaleko do pronuncyamentów podług hiszpańskiego wzoru

Gabinet Loubeta powstał pod hasłem rozwiązania parlamentu, jeśli on będzie utrudniał rządzenie — i oto znowu widzimy, że pełnomocnicy trzech zgoła niepowołanych czynników: Rosyi, giełdy i wojska, będą panowali nawet wbrew woli reprezentantów „narodu - monarchy.“ Jakże nieszczęśliwie i komicznie zarazem wygląda ten biedny monarcha!

Zatarg szwedzko-norweski wciąż się zaostrza. Norweski storthing postanowił bez wszelkich rokowań z Szwecyą zorganizować własną służbę konsularną, lecz król oparł się temu, powołując się na §. 5-ty aktu unii, gdzie powiedziano: „Jeżeli norweski storthing poruszy jakąkolwiek sprawę, [illegible] królestwa, natenczas w naradach powinni brać udział trzej członkowie szwedzkiej rady stanu.“ Otóż król i Szwedzi utrzymują, że sprawa zniesienia wspólnej służby konsularnej i zorganizowania natomiast odrębnej dla Szwecyi i odrębnej dla Norwegii jest właśnie taką, o której mowa w §. 5-ym aktu unii, — zaś radykalne ministeryum norweskie Steena obstaje przy zdaniu, że ta sprawa wspólną nie jest i nic nie obchodzi Szwedów, a zatem storthing może ją załatwić bez zwłoki. Król założył *veto*, a Steen oświadczył, że jeśli król nie zmieni swego postanowienia, to gabinet poda się do dymisyi, co wywoła burzę w całym kraju. *Dagbladet*, organ gabinetu, wystąpił z takim artykułem:

„Mieliśmy za rzecz pewną, że norweski król użyje wszelkich starań, aby sprawę konsularną załatwić zgodnie z interesami Norwegii. Jeśli się stanie inaczej, to cały świat się przekona, że król Norwegów nie postępuje po norwezku, nie jest Norwegiem, albo nie chce być. Ponieważ on kieruje się względami szwedzkiemi w sprawach wyłącznie norwezkich i postępuje wbrew woli narodu i decyzyi rządu, przeto nie potrzeba lepszych dowodów, że on uważa siebie w Norwegii tylko za plenipotenta Szwedów. Utrzymujemy tedy, że kwestya konsularna może doprowadzić do katastrofy, której rezultatem będzie upadek n i e s a m e g o t y l k o ministeryum.“

Taka mowa ministeryalnego dziennika świadczy o wielkiem rozdrażnieniu rządowego stronnictwa, które — jako radykalne — jest oczywiście nie obowiązane do delikatności.

Korespondencye.

Z Litwy 22 lutego.

Donoszę o nowym sposobie, obmyślonym przez władze szkolne, których pierwszem zadaniem jest przeciągnąć naszą dziatwę na schyzmę. Już od kilku tygodni mówią u nas o tym zamachu na religię, ale dokładnej wiadomości nikt nie miał, więc i ja na pogłoskach opierać się nie chciałem i dla tegom się nie śpieszył z tym listem. Ale oto miałem sposobność odczytać okólnik, wydany w tej sprawie przez kuratora naukowego okręgu, — jego zatem treść wam komunikuję.

Pan kurator zwraca uwagę dyrektorów gimnazyalnych na pierwszy ich obowiązek wpajania w dziatwę, powierzoną ich pieczy, miłości panującego domu. Najlepszym zaś sposobem na to jest stała obecność gimnazyastów na niedzielnych uroczystych modłach za dom carski, odprawianych przez cnotliwe (*błagoczestiwoje*) duchowieństwo prawosławne. Jednakże uczniowie rzymsko-katolickiego wyznania mogą uczęszczać bez przeszkody na msze (*abiednic*) do kościołów, wszelako z tym koniecznym warunkiem, iżby o godzinie 10-ej z rana zgromadzali się wszyscy bez wyjątku w szkolnym budynku i stąd parami, pod dozorem nauczycieli, szli do cerkwi na modły (*moleben*) za dom panujący. Zwraca się przytem uwagę panów dyrektorów, że sama obecność uczni na *molebnie* nie jest wystarczająca: powinni oni brać w niem czynny udział, a to przez śpiew na klyrosie.

Tych cerkiewnych śpiewów (*cerkownawo pienija*) powinni uczyć się obowiązkowo wszyscy gimnazyaści w oznaczonych godzinach popołudniowych, w budynku szkolnym, zaś udział w śpiewie na klyrosie będą brali po kolei. (*Klyros* w cerkwiach jest to po prawej i lewej stronie carskich wrót wywyższenie za baryerką, — miejsce dla dyaczków i chóru śpiewackiego. *Moleben* jest bardzo długiem nabożeństwem za każdego z osobna członka panującej rodziny, potem za prawosławny synod, za metropolitę, wojsko i t. d. Odbywa się on w ten sposób, jak litania, że pop śpiewa dajmy na to strofę o carze i kończy wołaniem: *Hospodu pomolimsia!* a wtedy chór z klyrosu śpiewa trzy razy: *Hospodi pomiłuj!* Gdy śpiew ucichnie, pop zaczyna drugą strofę, o carowej, poczem znowu chór się odzywa, jak poprzednio — i tak aż do końca. Po skończeniu takiej litanii zaczyna się druga, znowu najpierw o carze, potem o carowej i tak hierarchicznym porządkiem aż do wojska, ale teraz już każdą strofę, w której szczegółowo wyliczone są potrzeby danej osoby, pop kończy wołaniem: „*Daždʹ Hospodi!*“ (Daj Panie) — i to samo chór śpiewa. Uważaliśmy za właściwe podać to wyjaśnienie, bo trudno, aby nasi czytelnicy wiedzieli czem jest *molebien*. To nabożeństwo zaczyna i kończy prawosławną mszę, która się nazywa *abiednia*, a jest bardzo krótka i odbywa się prawie cała przy zamkniętych carskich wrotach, zaś od konsekracyi aż do komunii św te zamknięte wrota są jeszcze firanką jedwabną zieloną zakryte, tak, że zgromadzeni w cerkwi nic nie widzą, co się dzieje przy ołtarzu. Ponieważ *abiednia* jest w środku *molebna*, przeto właściwie katolicy uczniowie muszą być na całem nabożeństwie. Przyp. redakcyi *Przegl.*)

Z dóbr po-wittgensztejnowskich pani Hohenlohe już sprzedała, ma się rozumieć tylko prawosławnym, blisko milion morgów, z czego więcej niż połowę kupili i rozparcelowali chłopi. Zostały jeszcze tylko, nie licząc Werek, dobra Nalibockie, z prześlicznemi lasami, jeziorami, zwierzyńcem, pałacem i znakomitemi urządzeniami. Te dobra pani Hohenlohe, będąc jeszcze młodziutką panienką, bardzo lubiła i przesiadywała w nich często ze swoim fraucymerem, i teraz na samą myśl o tem, że musi je sprzedać, zalewa się łzami i zwleka sprzedaż, jak może. Kilkaset dzierżawców w dobrach po-wittgensztejnowskich, samych Polaków, znalazło się na bruku. Z tego powodu wszelkie dzierżawy są bardzo poszukiwane, nawet i okrzyczane za złe mają wielu konkurentów. a cena dzierżaw podskoczyła pomimo ciężkich dla rolnictwa czasów. Co robić! Dla nas nie ma wyjścia. Jeśli kto nie chce kraju opuścić, a kapitaliku na życie nie ma, musi albo na bruku ginąć, albo na dzierżawie pracować mozolnie, byle przeżyć. Co prawda, młodsi i obrotniejsi wzięli się do handlu, nietylko po miastach, lecz i po wsiach, ale trudno im idzie, bo ogół jakoś więcej żydom wierzy, a niechże się zdarzy, że w takim katolickim sklepie dostanie ktoś niedobry towar, zaraz obnosi to po sąsiedztwie i dyskredytuje handel, choć przecie i w żydowskich handlach niezawsze dają towar dobry. Żydzi też usilnie szkodzą tej nowej warstwie kupieckiej. Ale w Bogu nadzieja, że ta młoda roślinka nie uschnie, bo widać w niej dużo energii. Właściciele tych handli łączą się w małe spółki dla łatwiejszego nabywania towarów. Powstały także inne spółki, nabywające produkta wiejskie, które są sprzedawane w miastach. Dawniej się tylko żydka widziało, wędrującego z wioski do wioski, kupującego tu skórkę z cielęcia, tam jaj kopę, ówdzie worek pierza; dziś nierzadko obaczyć można takiego kupca katolika, a zagadawszy z nim, dowiecie się, że nosi poczciwe polskie nazwisko i szkoły skończył, nawet nieraz dość wysokie. My w tem widzimy zaczątek rodzimego kupiectwa, które jeśli nie uschnie, to może się wyrobić na bardzo dzielne i obrotne, bo przeszkód ma więcej, niż gdziekolwiek na świecie. Nieraz, gdy o tem u nas mowa, jakaś tkliwa osoba zawoła ze łzą w oczach: „Oto, na cośmy zeszli na rodzinnej ziemi!“ Ale taki wykrzyknik aż złość w człowieku poruszy, bo proszę, czyż nie jest to nawet ze stanowiska narodowego dobry objaw, że się choć z musu do handlu bierzemy? — nie handlu już nawet, ale handełesowstwa? Charaktery się wyrobią spryt się wyrobi kupiecki i przemysłowy, fanaberyi ubędzie, rachunku przybędzie i skromności w życiu codziennem, a w końcu rozwinie się słowność, której dosyć mamy w stosunkach towarzyskich, ale bardzo mało w interesach. I z tego będzie to, że jakiś przyszły historyk naszej niedoli, oceniając wszystko jak się należy, powie, iż „nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło“ ludziom, którzy wzięli swój krzyż i niosąc go codzień, poszli Chrystusową drogą upokorzeń i krwawych cierpień ku zbawieniu...

Kronika paryzka.

Paryż 20 lutego.

(*W. Z.*) Skutkiem zaprowadzenia z dniem 1 lutego nowych protekcyjnych taryf celnych nastała taka drożyzna, że biednemu człowiekowi literalnie żyć nie podobna. To też wzmaga się z każdym dniem liczba utyskujących na tę taryfę a najgorętsi nawet jej zwolennicy zaczynają słabnąć w swoim ferworze i z mniejszem już przekonaniem zapewniają o wzroście pomyślnego stanu finansowego Francyi i ożywieniu handlu i przemysłu. Ceny mięsa i mąki poszły znacznie w górę co prawda, ale nie wzbogaca to wcale producentów, gdy się piekarze i rzeźnicy trochę podreperują w interesach i to tylko w Paryżu. A i o tem nawet wątpić można, gdy mniej sprzedawać będą, szczególniej mięsa, które tak podskoczyło w cenie, że dla większej części ludności stało się zupełnie niedostępne. Nawet konina podrożała. Bułki i chleb także są mniejsze, więc się kurczą żołądki, gdy kieszenie już się dawno pokurczyły.

Krótki był tryumf p. Méline'a i protekcyjnej większości parlamentu. Doprowadzona do niemożliwych granic opieka nad produkcyą krajową zaczyna już dzisiaj, a więc po kilku zaledwie tygodniach panowania nowego systemu, wydawać smutne owoce. Mniejsza o odosobnienie polityczne, wywołane ekonomicznem odcięciem się od reszty świata. W najgorszym razie można się pocieszyć aforyzmem p. Juliusza Ferrego, że „kraj potężny nie jest nigdy odosobniony politycznie.“ Ale skutki bezwzględnego protekcyonizmu odbijają się nader dotkliwie na ciele całego narodu w nadmiernej drożyźnie najniezbędniejszych artykułów konsumcyi. Reakcya przeciwko tej egoistycznej polityce zaczyna się też budzić coraz silniej w ludności francuzkiej I jeżeli do niedawna jeszcze teorye protekcyjne panowały samowładnie niemal we Francyi, to dzisiaj naród, pouczony własnem smutnem doświadczeniem, domaga się na całe gardło wolnego handlu. Wprawdzie wniosek socyalistycznego posła Lafargue'a, żądający zniesienia ceł od artykułów żywności, napotkał stanowczy opór u większości izby reprezentantów, ale z czasem opór ten zmięknie pod wpływem ogólnego niezadowolnienia.

Policya i sądownictwo francuskie stały się od pewnego czasu celem ostrych krytyk ze strony prasy paryskiej i to niezupełnie niesłusznych.

Brutalność policyi paryskiej oddawna przeszła w przysłowie. Wprawdzie nie wszyscy stróże bezpieczeństwa publicznego odznaczają się brakiem taktu, ogładności i delikatności w obejściu z publicznością, ale wiadomo, że w obec opinii instytucye zwykle płacą za wybryki kilku swych członków. Niektórzy zaś członkowie policyi obchodzą się z publicznością w sposób oburzający.

Niedawno oddział t. zw. „brigade de moeurs“ przez pomyłkę aresztował i trzymał w zamknięciu przez całą noc młodą Hiszpankę, która rozchorowała się ze wzruszenia i podobno także w skutek pokaleczeń przez agentów.

Różne podobne skandale byłyby przeszły niepostrzeżone, gdyby policyanci nie byli zaczepili niezgrabnie ludzi, wybitne zajmujących stanowiska w społeczeństwie. Jeden z nich przyprowadził do komisarza senatora, a w kilka dni później dwaj inni rycerze tej samej kategoryi pobili i w dodatku aresztowali deputowanego p. Rousse'a, który strasznej z tego powodu narobił wrzawy i podobno grozi interpelacyą do ministrów w pełnej izbie z powodu brutalności policyi, która tłómaczy się tem, że — nie wiedziała kim jest p. Rousse, jak gdyby zwyczajny śmiertelnik nie miał prawa do grzeczności z jej strony.

Zajście z p. Rousse miało następujący przebieg:

Wziął on na stacyi omnibusów przez pomyłkę bilet na jakąś ulicę, gdy na inną jechać zamierzał. Nadjeżdża omnibus, do którego p. Rousse był przekonany, że mu wsiąść należy i roztargniony poseł kwateruje się w nim jak najspokojniej. Kiedy cały wehikuł już się wypełnił, a jeszcze tłum pasażerów pozostał na trotuarze, przy sprawdzeniu biletów przekonywa się konduktor, że p. Rousse ma bilet innego koloru, kwalifikujący go do jazdy w inną stronę.

— To nadużycie! — wołają niepomieszczeni pasażerowie z trotuaru, a ci, którym pilniej było jechać, wzywają policyę.

P. Rousse tłómaczy pomyłkę i wysiąść z omnibusu nie chce. W odpowiedzi na to energiczny policyant chwyta deputowanego za kołnierz i wyrzuca na bruk tak gwałtownie, że p. Rousse upadł... Począł więc krzyczeć, a skutek tego był ten, że się znalazł w komisaryacie policyjnym, do którego drogę ułatwili mu koledzy energicznego policyanta, drąc na nim ubranie i nie żałując mu kułaków w plecy, w bok i gdzie się tylko dało. W policyi p. Rousse melduje się, że jest deputowanym, ale ponieważ nie miał przy sobie karty poselskiej, musiał jeszcze przejść przez rewizyę i nowy taniec ze stróżami publicznego bezpieczeństwa. Znalazł się nareszcie ktoś, który poświadczył autentyczność p. Rousse i uwolnił go z kozy.

Sądownictwo zaś zasłużyło sobie na zarzuty

Manewr giełdowy.

(Dokończenie)

Doszedłszy do toru kolejowego, skręcili nieco na prawo i zniknęli w krzakach. Doktor badał ziemię dokładnie i zdawało się, że jest zadowolnionym. Nie namyślając się długo, zaczął z Davenage'm wzruszać ziemię ryskalem i dźaganem, ów trzeci zaś łopatą uprzątał wykopaną ziemię.

Po kilku minutach natrafili na rurę, kryjącą w sobie kabel telegraficzny, i odsłonili spory jej kawał. W tem miejscu właśnie rozgałęział się kabel na kilka stron. Doktor odśrubował dwa spojenia, usunął kawałek rury i odsłonił kabel. Piłą i pilnikiem przeciął szybko kabel, poczem z Canningiem, owym trzecim spólnikiem, połączył przecięte końce drutu telegraficznego z końcami przyniesionego przezeń zwoju drutów, obwinął je starannie jedwabiem, wśrubował napowrót wyjęty przed chwilą kawał rury, przysypał ziemią, udeptał ją i zrównał, aby jak najmniej śladu odkopywania pozostało. Potem ruszyli wszyscy trzej w drogę do domu i idąc rozwijali zwój drutu, izolowanego kauczukiem.

— Linia — rzekł doktor, przyszedłszy do domu — znajduje się znowu w porządku, została tylko o jakich sto metrów przedłużoną. Jeżeli akuratnie podczas naszej manipulacyi nie było jakiej depeszy w drodze, to nikt nawet nie pozna, że była przerwana; a zresztą choćby i poznał, to weźmie to za kaprys elektryczności, teraz bowiem prąd jest już nieprzerwany. Indye są jeszcze Indyami, ale za dziesięć minut olbrzymi ten kraj ze wszystkiemi swemi interesami politycznemi i finansowemi znajdować się będzie w czterech ścianach tego pokoju. No, Canningu, bierzmy się do pracy!

Pokój, w którym się trzej nasi znajomi znajdowali, był średniej wielkości. Całe urządzenie jego składało się z otomany, kilku stołów i krzeseł, dwóch lamp, kilku bateryj elektrycznych i wielkiego zielonego parawanu. Między parawanem a ścianą stały dwa małe stoliki, a na nich lampy olejne. Światło tych lamp było niewidzialne dla osób stojących po drugiej stronie parawanu, tylko górą blisko sufitu migotała płowa chmurka światła, a przez dwa otwory, wykrojone w parawanie, przedzierał się silny promień, podobny do promienia słonecznego, padającego przez szparę we drzwiach lub przez szczelinę w ścianie do ciemnego pokoju. W każdy z tych otworów w parawanie wprawiono wypukłą soczewkę, które skupiały światło lamp w dwóch zwierciedlanych galwanometrach, zawieszonych pomiędzy okrągłemi reflektorami światła. Koło każdego reflektora wisiała na krótkiej nitce jedwabnej igła sygnałowa, taka, jaka się znajduje przy drutach telegraficznych na wielką odległość.

— A teraz — rzekł Canning, przepiłowawszy w środku przyniesiony drut izolowany, którego oba końce przytwierdzone były do indyjskiego kabla — bierz pan indyjski koniec, a ja biorę angielski.

W momencie przytwierdzili Hawkes i Canning oba końce do klawiszy i przygotowania było skończone.

Nie upłynęła minuta, kiedy promień światła zaczął migotać, z Indyj nadchodziła jakaś depesza Byłto szyfrowany telegram bankowy, adresowany do firmy Bischoffsheima i spółki. Hawkes puścił go dalej bez namysłu.

— Wszystkie takie depesze puszczać — rzekł do gapiącego się Davenage'a. — W ogóle tej nocy nie można jeszcze nic zrobić, dopiero nad rankiem zacznie się nasza praca.

Noc upłynęła spokojnie. Wszystkie depesze, jakie nadchodziły, były ze Wschodu, bo w Indyach słońce stało już wysoko, kiedy w Londynie noc panowała.

— Nareszcie — zawołał doktor, gdy na dworze dzionek świtać zaczął. — Wiadomości nasze przybędą wprawdzie za późno, aby mogły jeszcze być zamieszczone w dziennikach, ale nasi kupcy i bankierzy londyńscy będą mieli co czytać w drodze do City.

„Klik, klik, klik!“ zadźwięczały klawisze pod wprawnemi palcami doktora.

— Tak! — rzekł, zacierając ręce. — Posłałem kilka tuzinów słów, które do dwóch godzin zaalarmują cały Londyn. Przyszedłszy na giełdę, panie Davenage, przeczytasz je pan wypisane ogromnemi literami. Spuszczam się na to, że zbierać będziesz to żniwo, dopóki słońce świeci. A teraz spiesz się pan, abyś się nie spóźnił na pociąg. Życzę panu szczęścia i wesołego zobaczenia się.

Dzień 23 kwietnia pozostanie Londyńczykom jeszcze długo w pamięci. Przed każdą ekspedycyą gazet stały tłumy ludzi i w osłupieniu gapiły się na tablicę, na której wypisane były następujące depesze z Indyj:

B o m b a j 23 kwietnia, godzina 10, minut 40 rano. W tej chwili nadeszły tu depesze z Afganistanu, że armia rosyjska w sile 50—80.000 ludzi przekroczyła granicę i maszeruje na Herat. Między ludnością panuje ogromne wzburzenie.

L a h o r e 23 kwietnia, godzina 11, minut 20. Wicekról lord Dufferin, bawiący tu obecnie, zwołał rajahów i książąt krajowych na naradę z powodu niespodziewanego wtargnięcia Rosyan. Jest nadzieja, że uda się szybko zmobilizować stutysięczną armię i do ośmiu dni przekroczyć wąwóz Kyber. Ludność oburzona jest niesłychanie na Rosyan i zachowuje się bardzo lojalnie.

Biuletyny tego rodzaju nadchodziły co godzinę. Między Londynem a Indyami tudzież Londynem i Rosyą latały co chwilę depesze. Dr. Hawkes słusznie przewidywał, że protestom rosyjskim nikt wierzyć nie będzie. Odrzucano je z pogardą i brano za namacalny dowód bezwstydnej dwulicowości dyplomacyi rosyjskiej Królowę powołano co rychlej z Aix les Bains, gdzie przebywała dla poratowania zdrowia, ministrowie zeszli się na nadzwyczajną naradę, przed wieczorem jeszcze spadły konsole angielskie o cztery, a rosyjskie papiery o dziewięć procent.

Nazajutrz rano przyniosły dzienniki szczegółowe telegramy o napadzie Rosyan na Herat. Równocześnie nadeszła depesza, że wicekról Indyi rozciągnął kontrolę nad telegrafem i że odtąd przepuszczane będą tylko takie depesze prywatne, które rząd przepuścić pozwoli.

Konsole angielskie i rosyjskie papiery spadały wciąż, a Davenage kupował je bez przestanku po niskiej cenie, gdyż oprócz niego nie było na giełdzie żadnego drugiego amatora na nie. Tak trwało przez cztery dni, od czwartku do poniedziałku. W poniedziałek nie było na tablicach biuletynowych ani jednej depeszy. W południe nadeszło doniesienie, że komunikacya telegraficzna ze Wschodem przerwana, a o godzinie 6 wieczorem mówiono w mieście, że kabel przerwany jest w Anglii i to w niewielkiem oddaleniu od stolicy. Wysłano kilkunastu ludzi fachowych, aby zbadali dokładnie linię i naprawili szkodę, w Dowerze zaś urządzono tymczasowe biuro, które utrzymywało komunikacyę z jednej strony z Indyanami, z drugiej zaś z Londynem.

Nazajutrz rano Londyn, Anglia, ba świat cały, osłupiał na wiadomość o odkryciu gigantycznego oszustwa, które sprowadziło ruinę tysiąca ludzi. Niezliczone miliony gotówki zmieniły właścicieli a mnóstwo ludzi zeszło na kij żebraczy przez podstęp kilku niesumiennych indywiduów. Oczywiście zaraz pierwsza depesza wysłana z prowizorycznego biura w Dowerze wykryła szwindel, znaleziono miejsce, w którem kabel był przecięty, znaleziono ów dom, w którym oszuści zaimprowizowali swe biuro telegraficzne, znaleziono ich aparaty, ale sprawców nie znaleziono.

Mr. Herbert Davenage jest dziś jednym z najmajętniejszych ajentów giełdowych, a koledzy gratulowali mu sprytu i śmiałości, z jaką operował podczas czterodniowej paniki, na czem zarobił okrągło milion funtów.

— Ach! tak samo dobrze mogło być i dwa miliony — westchnął dr. Hawkes, gdy z przyjacielem swym Davenage'm siedział przy butelce szampana. Ale nie można było zrobić inaczej. Musiałem zawczasu rzucić broń i uciekać. Właśnie stylizowałem moje sprawozdanie o wielkiej bitwie w wąwozie Kyber i przy pomocy szematyzmu wojskowego układałem listę poległych, gdy w tem otrzymałem depeszę, że biuro indyjskie odbywa próby na całej linii, gdyż otrzymało jakąś podejrzaną depeszę. Oczywiście zrozumiałem w jednej chwili, że przepuściłem coś, czegom przepuścić nie był powinien, i że za kilka godzin wszystko na jaw wyjdzie, bo urząd telegraficzny posługiwać się będzie lokalnemi liniami z francuskiej stacyi. Przeciąłem więc czemprędzej moje druty, powyrzucałem co się dało i pierwszym pociągiem odjechałem do Londynu. We wsi nikt mnie nie znał, nie miałem się więc czego obawiać, dom ów wynajął Canning i zaraz nazajutrz z dziesięcioma tysiącami szterlingów w kieszeni popłynął do Australii. Milion — jest to wprawdzie tylko połowa tego, cośmy chcieli i czegośmy się spodziewali, ale w gruncie rzeczy nie mamy i tak powodu uskarżać się. Ja przynajmniej jestem całkiem zadowolniony, a pan?

Davenage podał mu rękę i obaj łotrzyki uścisnęli się serdecznie.

innego rodzaju. Dziennikarze twierdzą, że sędziowie francuscy przekręcili przysłowie: „lepiej dziesięciu winnych uwolnić, niż jednego niewinnego skrzywdzić" — i trzymają się teraz zasady, że lepiej dziesięciu niewinnych skrzywdzić, niż jednego winnego zasądzić.

W tych dniach np. sądzili nałogowego rabusia, który zabił swoją kochankę dla tego, że nie chciała dostarczyć mu pieniędzy. Uznali go winnym, ale z „łagodzącemi okolicznościami. Wszyscy szydzą tu z tych „łagodzących okoliczności".

W podobnym wypadku ciż sędziowie uwolnili od kary podsądnego w „nagrodę" za to, że chybił swoją ofiarę, do której strzelał z rewolweru.

Zwykłych zbrodniarzy uwalniają sędziowie przysięgli z dziwną łatwością, dając im przez to możność popełnienia nowych występków i na szczególne wystawiając niebezpieczeństwo społeczeństwo; za to karzą oni czasem ludzi, których zbrodnie nie są udowodnione.

Oto przykład.

Przed ośmiu laty nieznany, czy też nieznani złoczyńcy, porwali i do lasu pobliskiego uprowadzili córkę wieśniaków we wsi Normandyi, nad brzegiem morza. Rodzice, słysząc krzyk małej dziewczyny, usiłowali dogonić uprowadzicieli, ale daremnemi były ich rozpaczliwe wysiłki.

Nazajutrz wydobyto z morza straszne pokaleczone zwłoki biednej ofiary.

Na podstawie denuncyacyi pewnego z mieszkańców okolicznych, aresztowano niejakiego Benjamina Reyniera, najemnika Aubric'ów, rodziców zamordowanej.

Morderstwo było popełnione o godzinie wpół do drugiej po południu. Reynier udowodnił za pomocą świadków, że o drugiej, czyli pół godziny później, znajdował się na polu Aubric'ów, gdzie oddawał się zwykłej pracy.

Nadaremnie jednak bronił się, twierdząc, że nie mógł żadną miarą przez pół godziny zbrodni popełnić, trupa ofiary wrzucić do morza oddalonego o pół kilometra od folwarku i powrócić do swej roboty.

Skonstatowawszy ślady krwi na ubraniu Reyniera, — sąd skazał go na ciężkie roboty dożywotnie i skazaniec został zesłany do Numei.

Upłynęło ośm lat.

W styczniu b. r. umarł grabarz wioski, w której została spełniona zbrodnia, a umierając, napisał testament, w którym denuncyował prawdziwych zbrodniarzy. Obawa utraty miejsca wstrzymała go była od pragnienia zeznania. Jeden z dwóch morderców małej Aubric był bowiem przyjacielem mera, od którego grabarz zależał. Jak grom padł ten testament na głowę spokojnych sędziów.

Prasa pochwyciła skwapliwie sensacyjną sprawę niewinnie skazanego Reyniera. Dwaj deputowani, pomiędzy nimi Hugues, przedsięwzięli ankietę celem udowodnienia niewinności biednego galernika.

Sprawa nabrała takiego rozgłosu, że zaniepokojony minister sprawiedliwości rozporządził, aby na nowo rozpoczęto śledztwo w sprawie tej zbrodni.

Być może, że Reynier zostanie nareszcie uwolniony — ale kto mu wynagrodzi owe piekło ośmioletnie, kto zmaże hańbę pobytu w Numei?

Lecz przejdźmy do rzeczy mniej tragicznych. Sławny komik i filar Komedyi francuskiej, Coquelin, porzucił dom Moliére'a, w którym tak wielkie święcił tryumfy i udał się na wędrówkę po miastach europejskich. Do kroku tego nie popchnęła wielkiego aktora gorączka złota — chciwości nie można zarzucać Coquelin'owi — lecz zawiedziona ambicya. Od lat piętnastu, a mianowicie od chwili, gdy mu osobisty jego przyjaciel Gambetta przyobiecał order legii honorowej, Coquelin z upragnieniem, lecz daremnie oczekuje czerwonej wstążeczki, która zdobi już tak wielu mniej zasłużonych, a przynajmniej głośnych jego kolegów. Wyczerpała się jednak miarka cierpliwości — gdy przy ostatniej nominacyi pominięto jego osobę, głośny komik odwrócił się od niewdzięcznej ojczyzny, która nie potrafiła ocenić jego wiekopomnych zasług około sztuki narodowej.

W operze przygotowują na 29 lutego wielką uroczystość z powodu setnej rocznicy urodzin Rossiniego. Włosi czują się dotknięci tem, że Paryż wyprzedził ich w uczczeniu pamięci wielkiego kompozytora włoskiego, a nadto mają rachunek do załatwienia z krytyką paryzką, która jedyna dotychczas w całym świecie nieżyczliwie odezwała się o najpiękniejszym dziele Mascagniego, o „Cavalleria" — przeto postanowili zemścić się na Francuzach i pokazać światu, że ten człowiek, któremu po śmierci urządzają szopki w Paryżu, za życia był przez nich wyzyskiwany. Przygotowują więc we Włoszech publikacyę listów Rossiniego z przed lat sześćdziesięciu, w których twórca „Cyrulika sewilskiego" gorzkie żale wywodzi na niesumienność rządu francuskiego, iż kupiwszy jego geniusz nie dotrzymuje swych zobowiązań i pozwala mu cierpieć nędzę zdala od ojczyzny. Książka ta pojawi się za kilka dni w Rzymie i Medyolanie tak, aby mogła zawczasu, w samą wilię uroczystości popsuć humory Paryżanom. Dzienniki paryzkie zwęszyły już ten zamach i od kilku dni, a więc dwa tygodnie naprzód, starają się osłabić wrażenie pojawić się mającej publikacyi i salwować honor imienia francuskiego.

Oto jak przedstawia sprawę dziennik tutejszy: „Jest rzeczywiście — pisze on — jeden ciemny punkt w życiu Rossiniego, lecz Włosi czynią go daleko czarniejszym, aniżeli był w rzeczywistości. My wiemy najlepiej jak to było, a z tego co wiemy okazuje się, że Francya była dla Rossiniego prawdziwą dobrodziejką. Po pierwszem przedstawieniu „Zelmiry" zamianował król Karol Xty Rossiniego jeneralnym inspektorem śpiewu. Na tej posadzie miał Rossini tyle wolnego czasu, że zajmował się więcej uczniami śpiewaczkami aniżeli swojem inspektorowaniem. Wreszcie podał się do dymisyi, król jednak chcąc zachować geniusz Rossiniego dla opery paryskiej, zrobił z nim umowę, iż przez lat dziesięć tylko dla tej opery dostarczać będzie swych utworów. Za to otrzymać miał roczną pensyę 6000 franków, a za każdą nową operę 15.000. Gdyby z jakichkolwiek powodów nowe opery Rossiniego nie były wystawione w operze paryskiej, miał Rossini w każdym razie pobierać dożywotnią pensyę 6000 franków. W rok po zawarciu umowy dał Rossini operze swego „Wilhelma Tella". Rewolucya z roku 1830 strąciła Karola Xgo z tronu a królem został Ludwik Filip. Ten zanadto zajęty był utrwaleniem swej dynastyi, aby i o teatrze pamiętać i nie wydał polecenia, aby Rossiniemu z królewskiej listy cywilnej płacono pensyę, wyznaczoną przez poprzednika. Rossini wytoczył więc proces, który trwał pięć lat i zakończył się dla niego wygraną. Zresztą, gdyby Rossini wstał z grobu, sam najlepiej by powiedział, jakiem był on tu kochany i uwielbiany, powiedziałby także, czem był więcej, Paryżaninem czy Włochem. Prawda że przez tych pięć lat procesu cierpiał głód i mieszkał na strychu, do którego po drabinie trzeba było łazić, ale na tym strychu złożył mu wizytę monarcha Dom Pedro, a zresztą peryod jego po roku 1855 wynagrodzić mógł mu wszystkie cierpienia — o ile smutniejsze życie prowadzili inni geniusze, n. p. nasz wielki Berlioz. Ten nie doczekał się zupełnie takiej jak Rossini."

Uroczystość w operze odbędzie się z wielką okazałością. Najlepsi artyści śpiewać będą wyjątki z oper Rossiniego, na końcu przedstawienia odbędzie się uwieńczenie popiersia Rossiniego, deklamacya i odśpiewanie kantaty. Najwięcej zajęcia wzbudza jednak to, że wielka Alboni, najsławniejsza niegdyś wykonawczyni kreacyj Rossiniego, dziś 65-letnia staruszka, śpiewać będzie kilka pieśni. Alboni wyszła przed laty za mąż za p. Ziegera, publicznie nie występuje już od lat przeszło dwudziestu, wszelako głos jej ma być jeszcze piękny. Na uroczystości Rossini'owskiej śpiewać będzie siedząc w fotelu, gdyż jest cierpiąca na nogi i długo stać nie może.

Sprawy krajowe.

Wybudowany kosztem funduszu krajowego na rogu ulic Kopernika i Leona Sapiehy gmach dla żandarmeryi jest za szczupły, gdyż podwórze, na którem odbywa się musztra, jest za małe, a nadto brakuje pomieszkania dla pięciu oficerów. Szczupłość gmachu da się jeszcze bardziej uczuć po wprowadzeniu w życie powiększenia żandarmeryi w kraju o 300 ludzi.

Uchwałą z 28 października 1889 upoważnił Sejm Wydział krajowy do wzniesienia na pozostałym obok głównego gmachu placu, mającym 15½ metrów frontu, domu mieszkalnego kosztem 19 tysięcy zł., wszelako Wydział krajowy przekonał się, że wzniesienie tego domu nie zaspokoi wszelkich potrzeb żandarmeryi, i że należałoby przedewszystkiem uzyskać większy plac, przez co możnaby zyskać miejsce na podwórze do musztry.

Grunt, o którym mowa, znajduje się przy ulicy Leona Sapiehy, naprzeciw wylotu ulicy Syxtuskiej i przytyka z jednej strony do podwórza żandarmeryi, a z drugiej do realności p. Ramułta. Aby dla nowo wybudować się mającego pomieszkania żandarmeryi uzyskać większy front, udał się Wydział krajowy do Magistratu z zapytaniem, czyby przez grunt tej realności 70¼ nie otworzyć nowej ulicy, któraby połączyła ulicę Leona Sapiehy z ulicą Ormiańską? Magistrat oświadczył gotowość sprzedania funduszowi krajowemu 244 metrów kwadratowych gruntu za cenę 14 tysięcy zł. i otworzyć nową ulicę obok gmachu żandarmeryi, pod warunkiem, że fundusz krajowy odda na tę ulicę ze swego gruntu niewielką przestrzeń około 15 metrów kwadratowych. Po otwarciu tej ulicy będzie miał plac nabyty przez fundusz krajowy dłuższy front, co będzie bardzo korzystne w razie dobudowania prawego pawilonu do koszar żandarmeryi. Dla tego też przedłoży Wydział krajowy wniosek, aby na razie wstrzymać się z budową domu mieszkalnego dla oficerów, a uchwaloną na ten cel przez Sejm 19.000 zł. użyć na zakupno od Magistratu powyższego gruntu, uprzątnięcie zeń starych walących się budynków i oparkanienia go.

(*Nędza w powiecie wielickim*).

Prezes Rady powiatowej wielickiej doniósł Wydziałowi krajowemu telegraficznie, iż położenie w tym powiecie pogarsza się z dniem każdym, że ludzie nie mają co jeść, ani czem roli obsadzić i że grunta stają się wiosną odłogiem. Wydział powiatowy, nie mając żadnych funduszów, nie może przyjść z pomocą, na razie za pożyczone pieniądze sprowadził tylko kukurudzę i odsprzedaje ją bardzo tanio ludności głodem dotkniętej, a dalszej pomocy oczekuje ze strony kraju.

Na skutek tego doniesienia postanowił Wydział krajowy rozdać z funduszu ś. p. Lewińskiego dla zubożałych włościan kwotę około 1381 zł., jednak po poprzedniem przedłożeniu wykazu pomocy potrzebujących i po przedłożeniu opinii miejscowego starosty.

Kronika.

Lwów 27 lutego.

Dar. Gminie Szarwark, w powiecie dąbrowskim, darował Cesarz 50 złr. na dokończenie budowy szkoły.

Z Uniwersytetu. Egzamin ze stenografii złożył 2 bm. w Uniwersytecie lwowskim p. Kazimierz Rożałowski, słuchacz IV roku praw.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Krośnie, rozpisała z terminem do końca marca br. konkurs na kilka posad nauczycielskich.

W dyrekcyi lwowskiej policyi wakuje posada kancelisty. Termin do wnoszenia podań upływa z d. 25 marca br.

Ze sfer adwokackich. Na listę adwokatów wpisani zostali z dniem 20 lutego br. pp.: dr. Bazyli Didossak z siedzibą w Buczaczu, Mojżesz Kahane z siedzibą w Bóbrce i Stanisław Zbyszewski z siedzibą we Lwowie.

U łoża p. Juliana Romańczuka odbyli wczoraj konsylium drowie Jana i Schram. Jak wiadomo, dr. Albert w Wiedniu wziął ból w nodze p. Romańczuka za reumatyzm i jako reumatyzm leczył go aż do wyjazdu chorego z Wiednia. Tymczasem we Lwowie dr. Jana oświadczył, że o reumatyzmie mowy tu nie ma, a ból w nodze musi pochodzić z bolączki, tworzącej się prawdopodobnie i to nie w samej bolącej nodze. Otóż na wczorajszem konsylium skonstatowali obaj lekarze rzeczywiście taką bolączkę i zaordynowali środki, które przyśpieszą jej dojrzenie, a po siedmiu dniach już, będzie można przeprowadzić operacyę. Obaj lekarze twierdzą stanowczo, że po tej operacyi p. Romańczuk powróci zupełnie do zdrowia. W tegorocznej sesyi sejmowej nie weźmie jednak udziału.

Sluby. Dziś o godzinie wpół do 7 wieczorem w katedrze św. Jura pobłogosławi ksiądz metropolita Sembratowicz związek małżeński panny Kamili Jamińskiej, córki adwokata, z p. Michałem Rudnickim, koncepistą kraj. dyrekcyi skarbu.

Dziś w sobotę o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w kościele OO. Bernardynów ślub panny Jadwigi Hoszowskiej, córki p. Celestyna Hoszowskiego, prof. szkoły realnej i Heleny z Mikulińskich, z p. Michałem Kornellą, inżynierem Wydziału krajowego.

W Czytelni katolickiej odbyła się w ubiegły czwartek zapowiedziana pogadanka: „O obecnym stanie sceny polskiej". Licznie zebrani członkowie zaznaczywszy przedewszystkiem wyjątkowe stanowisko sceny polskiej zastanawiali się nad scenami polskiemi w Warszawie i Krakowie. Nader żywa dyskusya rozwiązała się, gdy omawiano stosunki teatru w naszem mieście. Wspomniano także o zamiarze objęcia tegoż w zarząd kraju i zaznaczono, iż tylko wtedy mogłaby scena nasza wszelkim wymaganiom sceny narodowej odpowiedzieć i z pod panowania francuskiego dekadentyzmu się wyzwolić.

W dalszym ciągu dyskusyi poruszono znaczenie wychowawcze teatru, a członek Czytelni profesor Kalina zwrócił uwagę na stanowisko, jakie koło nauczycieli szkół wyższych w Krakowie w tej sprawie zajęło. Gdy później mowa była o teatrze amatorskim podniesiono konieczność ułożenia osobnego repertuaru dla przedstawień amatorskich w naszych towarzystwach rękodzielniczych „Skała" i „Gwiazdzie", przyczem z uznaniem zaznaczano, że oba te towarzystwa dotąd wolnemi pozostały od rozkładowych fars i komedyj francuskich.

Walne zgromadzenie członków „Klubu miłośników sztuki fotograficznej" odbędzie się w niedzielę (28 bm.) w sali Towarzystwa muzycznego (w gmachu teatralnym). Na porządku dziennym: 1. Sprawozdanie z czynności wydziału. 2. Sprawozdanie kasowe. 3. Wybór przewodniczącego i wydziału. 4. Wnioski i życzenia. Nakoniec odbędzie się przedstawienie scyoptyczne przy świetle elektrycznem. Początek o o godzinie 6 wieczorem.

† Franciszek Ksawery Piątkowski, nestor drukarzy lwowskich, wielce zasłużony około założenia stowarzyszeń humanitarnych, zmarł dnia 25 bm. po długiej i ciężkiej słabości, przeżywszy lat 74. Ś. p. zmarły cieszył się wielką popularnością w kołach mieszczańskich naszego miasta, którego był obywatelem i radnym. Stowarzyszenie wzajemnej pomocy mieszczan lwowskich i takież stowarzyszenie drukarzy lwowskich zawdzięczają swe założenie przeważnie pracy i staraniom śp. zmarłego. Również przy założeniu stow. „Gwiazdy" i w reorganizacyi innych stowarzyszeń humanitarnych zmarły brał bardzo czynny udział.

Istniejące we Lwowie produkcyjne stowarzyszenie drukarskie pod nazwą: I Związkowa drukarnia, powstanie swe zawdzięcza także śp. Piątkowskiemu.

Cześć pamięci cichego a wytrwałego pracownika, który całe swe życie strawił na usługach swej braci rękodzielniczej.

Wydział „Echa" zaprasza członków czynnych i wspierających na zwyczajne Walne zgromadzenie odbyć się mające w niedzielę dnia 28 bm. o godzinie 12 w południe w lokalu „Echa" (Rynek l. 17 I piętro). Na porządku dziennym: sprawozdanie ustępującego i wybór nowego wydziału.

Przerwane skrutynium. Skutkiem doniesienia kilku członków komisyi, przeprowadzającej skrutynium wyborów do rady miejskiej, że wiele list wyborczych jest sfałszowanych, przerwał p. prezydent miasta we czwartek dalszy ciąg skrutynium i zwołał na dziś pełne posiedzenie komisyi skrutacyjnej celem zbadania podniesionych zarzutów. Według relacyi członka tej komisyi p. Bronisława Mrazka ma się sprawa jak następuje: Po ukończeniu wyborów w dniu 28 stycznia wyjęto z urn wszystkie listy wyborcze opieczętowano je i złożono w biurze prezydialnem Magistratu Skrutynium rozpoczęło się dnia 1-go lutego Rozpieczętowano więc paczki z listami, wydzielono z nich niekreślone listy wszystkich kategoryi i oznaczono numerami porządkowymi, potem wzięto się do rozgatunkowania list kreślonych, i oznaczono numerami osobno każdą kreśloną listę komitetu miejskiego, osobno mieszczańskiego, osobistej kwalifikacyi i t. p. Na każdej takiej kreślonej liście uwidoczniono na dole liczbę nazwisk skreślonych i dopisanych i ogólną liczbę kandydatów umieszczonych na liście. P. Mrazek ilekroć był przy tej czynności notował sobie numer listy i liczbę nazwisk skreślonych. Po ukończeniu tego rozgatunkowania opieczętowano wszystkie kreślone listy, złożono je w biurze prezydialnem — i rozpoczęto właściwe skrutynium, najpierw od list niekreślonych. Skrutynium odbywało się w pięciu salach. Ilekroć zebrało się przynajmniej trzech członków komisyi skrutacyjnej, brano po jednej paczce, otwierano ją i liczono głosy, a wieczorem napowrót opieczętowywano i składano w biurze prezydyalnem. Skrutynium listy miejskiej, na którą najwięcej głosów oddano, zajęło przeszło trzy tygodnie czasu, tak, że dopiero we wtorek 23 lutego wieczorem zabrano się do skrutynium pierwszej paczki list niemiejskich. Już wtedy spostrzegł p. Mrazek kilka podejrzanych dopisków na dole list, ale ponieważ był to już wieczór i skrutynium odbywało się przy świetle gazowem, przeto nie chciał wystąpić wtedy z zarzutem, bo nie był pewnym czy się nie myli. Dopiero nazajutrz 24 lutego p. Mrazek przekonawszy się dowodnie, że listy są fałszowane, zawiadomił o tem prezydenta, który zawiesił skrutynium w sali V, w której p. Mrazek pracował i zwołał nazajutrz oprócz członków komisyi pracującej w sali V także obecnych w innych salach członków i w ich obecności otwarto paczki i badano listy. — Owóż wyszło na jaw, że w paczkach przeznaczonych do skrutynium w jednej tylko sali V znajduje się przeszło 200 takich list, w których zapiski na dole co do liczby nazwisk skreślonych i dopisanych nie zgadzają się z zapiskami, zrobionemi na początku skrutynium, na wielu listach stwierdzono, że dopiski na dole były gumą wytarte i poprawione inną ręką i innym atramentem aniżeli pierwotne, że dopisane nazwiska kandydatów były wytarte i zastąpione innemi i t. p.

Oprócz p. Mrazka uznali także pp. Gros i Basch wiele list za sfałszowanych, a także członkowie komisyi, pracujący w innych salach, oświadczyli, że i w swoich salach dostrzegli na listach wiele podejrzanych manipulacyj.

Z tego powodu przerwał p. prezydent wszelką dalszą czynność komisyi skrutacyjnej i zwołał na dziś jej plenarne posiedzenie.

Podziękowanie. *Gorlice* dnia 20 lutego. Dnia 16 lutego b. r. odbył się w sali Kasyna wieczorek muzykalno-deklamacyjny, połączony z odczytem na korzyść oddziału gorlickiego Towarzystwa pedagogicznego. Wieczorek ten wypadł bardzo dobrze ku ogólnemu zadowoleniu obecnych, a Towarzystwu przyniósł ładny dochód, bo 96 złr. 30 ct. brutto. W wieczorku tym wzięła udział licznie zebrana inteligencya tak miejscowa, jak i z okolicy, czem dała wymowny dowód, że sprawa oświaty nie jest jej obojętną. Podpisani imieniem oddziału Towarzystwa pedagogicznego poczuwają się do miłego obowiązku złożenia gorącego podziękowania najpierw inicyatorom tego wieczorku za ich gorliwe i energiczne zajęcie się sprawą Towarzystwa, niemniej i szanownym uczestnikom komitetu, którzy nie tylko nie odmówili swego współudziału — ale się znakomicie wywiązali ze swego zadania. *W. Biechoński*, wiceprezes oddziału Tow. pedagogicznego. *Józefa Winkler*, skarbnik oddziału Tow. ped.

Sztuki fakira. W Berlinie produkuje się teraz fakir indyjski Soliman Ben Aissa, który jak dzienniki tamtejsze zapewniają, dokazuje cudów. Soliman jest silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, lat około 30, mówi dobrze po francusku i tego też języka używa podczas swoich produkcyi. Najpierw siada Soliman na ziemi obyczajem wschodnim. W naczyniu, napełnionem żarzącemi węglami, pali jakiś proszek. Soliman pochyla się nad naczyniem i całą piersią pochłania w siebie dym wytworzony ze spalenia tajemniczego proszku. Odurzony powstaje i rozpoczyna swoje popisy. Bierze tedy kilka długich, spiczastych igieł i przekłuwa sobie niemi policzki, uszy, nos a nareszcie i gardło. Igły tkwią tak kilkanaście minut, a kropelka krwi nie występuje z miejsc przekłutych. Dopiero na żądanie kogoś z publiczności, jakby na komendę, okazują się czerwone krople. Do drugiego eksperymentu używa silniejszej igły. Przewierca sobie nią język w pewnym punkcie i nawija go na igłę jak kawałek sukna. Miecz, wyostrzony jak brzytwa, przykłada sobie do obnażonego ciała ostrzem i z całej siły bije w niego młotem. Po odjęciu zostają zaledwie widoczne czerwone pręgi. To wszystko jednak niczem jest w obec strasznego experymentu, który Soliman dokonuje z okiem. Za pomocą ostrej igły stalowej wyjmuje on sobie oko jedno i drugie po kolei, prezentuje na dłoni, a potem wsadza napowrót. Jadowite węże poskramia i wykonuje z niemi rozmaite produkcye, a potem zjada je razem ze skórą i kośćmi. Nakoniec wyjmuje Soliman żarzące się węgle z tygla i wkłada sobie pod pachę. Po wyjęciu ich nie pozostaje nawet ślad poparzenia.

Soliman należał do zakonu Saidi, założonego jeszcze w roku 1335 przez Saad-Eldin Dżebari'ego.

Raulek Koczalski siedmioletni pianista, którego Lwów miał sposobność podziwiać w dwu koncertach, występuje teraz w Budapeszcie. Tamtejsze pisma wyrażają się o nim z ogromnem uznaniem.

P. Wiktor Klobassa-Zręcki, znany przedsiębiorca naftowy z Jasielskiego, nabył dobra Odry na Szląsku austryackim za sumę około 800.000 złr.

Zamach na profesora gimnazyalnego. Dzienniki tutejsze doniosły w tych dniach o zamachu morderczym na jednego z profesorów gimnazyum niemieckiego we Lwowie, pana D.. Pisały nawet szczegółowo, że morderca chybił, strzelając przez okno mieszkania, a kula ugrzęzła tylko w ścianie. Chcąc dowiedzieć się o prawdziwości tej pogłoski, udaliśmy się z zapytaniem do dyrekcyi tego gimnazyum, gdzie nas zapewniono, że podobnego wypadku nie było wcale. W gronie nauczycieli tego zakładu jeden tylko prof. Daniluk nosi nazwisko, poczynające się od wymienionej litery, a ten oświadczył nam, że o żadnym zamachu na swoją osobę nic nie wie, i że nikt do niego nie strzelał.

Ze „Skały". Odczyt p. Leona Syroczyńskiego, inżyniera Wydziału kraj. i profesora szkoły politechnicznej „O korzyściach górnictwa", odbędzie się jutro w niedzielę w sali Stowarzyszenia. Początek o godz. 5 po południu. Wstęp wolny.

Następny wykład z dziedziny astronomii „O pomiarze czasu" wygłosi p. Seweryn Widt, w niedzielę 6 marca b. r.

Związek koleżeński byłych uczennic seminaryum lwowskiego krząta się żwawo, umiejętnie i gorliwie około zacnych swoich zadań.

Wydział, jak słyszymy, udziela już swoim członkom zapomóg pieniężnych i innej koleżeńskiej pomocy tak w książkach do egzaminów, w przysposabianiu do nich przyjezdnych koleżanek, w zniżaniu taksy, jako też w wyszukiwaniu lekcyi, w dostarczaniu informacyi naukowych, w umieszczaniu chorych itp.

Główne jednak usiłowania wydziału skupiają się około utworzenia schroniska dla nauczycielek, którego jedna część wejdzie już w życie z początkiem września b. r. mianowicie: mieszkanie dla dziesięciu osób; pięć miejsc bezpłatnych stałych dla najuboższych, nie mogących pracować nauczycielek — pięć zaś dla przyjezdnych, zmuszonych chwilowo przebywać w mieście, a nie mających środków na odpowiednie pomieszczenie się.

Nad urzeczywistnieniem tych niełatwych zadań pracuje coraz wzrastająca liczba współpracownic. Urok koleżeństwa jest tak wielki, że ze wszystkich stron kraju przybywają członkowie z odezwami radosnego powitania, otuchy i potrzeby przygarnięcia się. Urok ten udzielił się i dalej po za obręb zamkniętego zrazu pierścienia seminarzystek; to też wydział na skutek objawionych mu stamtąd życzeń, rozszerza z koleżeńską miłością szeregi swoje i korzystając z nadanego mu przez walne zgromadzenie upoważnienia, przyznaje prawa członków zwyczajnych, wszystkim w ogóle przystępującym doń nauczycielkom, tak szkół publicznych, jak i zajmujących się prywatnem nauczaniem a posiadających kwalifikacye nauczycielskie do szkół publicznych. Bióro związku funkcyonujące każdego wtorku od godz. 3-ej do 7-ej

---

53)

GĄSIORKOWSKI

POWIEŚĆ

przez

W. Kosiakiewicza.

(Ciąg dalszy).

To jeszcze szczęście, gdy ktoś potrafi się obejrzeć dokładnie w trudnej albo niebezpiecznej sytuacyi i jasno ze wszystkiego zdać sobie sprawę.

Gąsiorkowski w takiem właśnie położeniu się znajduje. Dzięki temu wyostrzył się jego wzrok, wydelikatniał słuch i teraz, opancerzony przeciw niebezpieczeństwu, spotyka się z Zosią i prowadzi z nią, jak dawniej, długie rozmowy. Ale teraz dopiero zdaje sobie dokładnie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa. Te spojrzenia jej, któremi zdaje się przyciągać Gąsiorkowskiego do siebie, ten delikatny, miękki dźwięk jej słów, w którym zdaje się siebie jemu oddawać — cóż to za pokusy nadludzkie. Jej dusza dobra i szlachetna chce mu okazać przyjaźń, na jaką słusznie po tylu latach zasługiwania zasłużył, — wdzięczność może za te czasy, w których był dla niej dobrym, wyrozumiałym, usłużnym.

Trzeba pamiętać o tem ciągle — w tem cała sztuka.

Ale sztuka to nie łatwa. Zosia jest zbyt piękną, zbyt piękną... Pokusy są zbyt silne, zbyt silne — nawet wtedy, kiedy się widzi całą ich czczość.

Sprawa jest poważną, poważniejszą, niż się na razie Gąsiorkowskiemu wydało. Odkąd słuch mu się wydelikatnił i wzrok zaostrzył, spostrzega to, że każde widzenie się z Zosią ślad smutku jakiś w nim zostawia. Na Boga! — może być źle! Pokusa oblega zewsząd i kąsa, jak rój pszczelny.

Nie opędzisz się, Gąsiorkowski! To trudno — innej rady nie ma, tylko trzeba pokus — unikać. Szczęściem i silnej woli ci nie braknie, o, nie!

Trzeba to jednak tak zrobić, aby w robocie białych nitek widać nie było, aby się jeszcze raz nie podać na śmieszność. A to nie łatwo przychodzi ukryć wszystkie swoje myśli, aby w ludzkie oczy nie wpadały, przedewszystkiem aby się do oczu Zosi nie dostały.

Spostrzega ona coś w nim niezwyczajnego: nagle ni stąd, ni zowąd zapytanie rzuca:

— Pan dziś nie w humorze?

Gąsiorkowski zaprzecza temu oczywiście:

— Ależ bynajmniej... ani trochę.

Uspokojona tem, wpada w swój ton wesoły i po pewnym czasie znowu robi uwagę:

— Nie, ale pan doprawdy dziś nie w humorze.

— Zdaje się pani.

To ją na nowo uspokaja.

— Tem lepiej — mówi wesoło.

Wszakże nie może się w końcu opędzić myśli, którą on napróżno od niej oddala.

— Co panu jest, panie Gąsiorkowski?

— Nic, nic doprawdy.

Jej ucho łowi nutę tłumionego rozdrażnienia w jego słowach. Nie odzyskuje już swojego humoru dobrego do końca i rozmowa zrywa się prędzej, niż się spodziewano.

Przy nowem widzeniu się — to samo.

Ależ tak, to jest widocznem, że on ma smutek jakiś. Przypuszcza otwarty szturm do niego. Niech się nie wypiera, niech nie zaprzecza! Ona to widzi, widzi niezawodnie i jego zaprzeczania nie wyprowadzą jej w pole. Musi jej powiedzieć — wytłómaczyć się, wyspowiadać ze wszystkiego. Inaczej nie ustąpi i nie pójdzie sobie stąd wcale.

On się uśmiecha na to natręctwo rozkoszne.

— O! widzi pan, chwyta Zosia ten uśmiech, — już jest dobrze, a jeszcze nie zaczęliśmy.

Ale ten uśmiech na jego twarzy znikł, jak przelotny promień słońca w dniu, chmurami przyćmionym, — i nie wrócił.

Napróżno prosi, nalega, niecierpliwi się, robi minki smutne i obarcza go wyrzutami.

Nic mu nie jest, nic doprawdy; nie stał się żaden fakt nieprzyjemny ani nie czuje on w sobie zmiany jakiejkolwiek. To, co Zosia widzi, to urojenie i wmawianie.

A może, a może, — myśli Zosia.

Ale mało potrzeba czasu, aby przekonała się stanowczo, że się myli. Ma Gąsiorkowski zmartwienie jakieś, i, niedobry człowiek, powiedzieć nie chce... Trzeba go rozerwać, rozweselić, rozprószyć smutne myśli, — kiedy się otwarcie i po przyjacielsku pocieszyć nie pozwala.

Sam los szczęśliwy jej dopomaga, wpadła jej właśnie w ręce książka: „Wielki świat Capowic", zabawna i śmieszna, — pękać ze śmiechu. Przynosi ją Gąsiorkowskiemu i zaleca.

Nie mówi mu już, że jest w złym humorze, że musi jej opowiedzieć swoje zmartwienie... Jakby tego nie widziała, jakby tego nie było.

Wesoła, uśmiechnięta, żywa, znajduje tysiące przedmiotów do rozmowy; usta jej nie milkną na chwilę, błyska dowcipami, które jej samej przynoszą zadowolenie; robi projekta na karnawał, mówi głośno o balach i o strojach, przemienia się wreszcie w dziecko prawdziwe, takie jej do główki myśli przylatują, takie jej swawolne trzymają się żarty...

Nic...

Co się Gąsiorkowski uśmiechnie, to zaraz potem brwi mu się marszczą, oczy ciemnością jakąś zachodzą, prawie, że doprawdy ponury wyraz siada mu na twarzy.

A nawet... a nawet szorstkie jakie słowo wymknie mu się z ust, — widocznie rozdrażnienie go męczy.

Chyba go zostawić samego, może to będzie najlepsze, najskuteczniejsze.

Nie wychodzi Zosia z domu dzień, dwa, trzy. Nie przychodzi Gąsiorkowski do Balskich dzień, dwa, trzy.

Doskonale. Widocznie potrzebował samotności, w której zmartwienie jego, — co to doprawdy byćby mogło, — uspokoi się, przeminie, zniknie. Mało to takich zmartwień bywa, których się ludziom, nawet najlepiej życzącym, pokazać nie chce? Samotność wtedy leczy, jak lekarz najlepszy...

Czwartego dnia idzie Zosia do Gąsiorkowskich dowiedzieć się, co też słychać. Wita ją na wstępie ta sama stara chmura na czole Gąsiorkowskiego.

Ach! ta chmura nieznośna! co na nią poradzić?

VII.

Nie, stanowczo, coś z panem Gąsiorkowskim stało się, ale co, tego Zosia w żaden sposób pojąć nie jest w stanie. Od tak dawna oboje cieszyli się z balu, na który Zosię wyprawiano, mieli się z sobą wytańczyć... Tymczasem Gąsiorkowski bąkał coś o niepójściu wcale na bal, o pracy, jaką ma w biurze... prawie że się wymawiał. Ostatecznie na bal pojechał, — ale taki dziwny jakiś, taki nieswój... taki niechętny niby. A szkoda, że w ten smutek twarz owija, bo tak mu we fraku dobrze, tak poważnie i spokojnie wygląda, taką ma dobrą minę. Zosia pierwszy raz go we fraku widzi i nie może się powstrzymać, aby mu nie powiedzieć:

— Jak panu dobrze w tem.

On ledwie że uśmiechnie się na to. Na Zosię prawie uwagi nie zwraca, a ona tak oczekiwała, aby usłyszeć od niego zdanie o swojej toalecie balowej, o tych tiulach różowych, delikatnych, przezroczystych, pod szyją i na ramionach odgarniętych, od dołu do góry w powoje białe owiniętych, o uczesaniu głowy misternem, z którego sam fryzyer był dumnym, spiętrzywszy jej włosy złote.

Sama musi mu na to uwagę zwracać, sama musi zapytać, poprosić:

— Niech pan obejrzy, czy dobrze.

Pochwalił, powiedział, że dobrze, ale tak chłodno, jakby przez grzeczność tylko.

— Niech pan powie prawdę szczerą, — prosi go.

I dopiero czuła się zadowolnioną wtedy, gdy spostrzegła w oczach jego rozjaśnienie jakieś, a na twarzy przelotny promyk pogody.

Przelotny promyk, niestety! Ledwie do karety wsiedli we czwórkę z Rozprzyckim i z Kazią we wspaniałej sukni jasno-bronzowej, czarną koronką osłonionej, Gąsiorkowski bąka coś o tem, że odprowadza tylko, że będzie musiał bal wkrótce opuścić, że jutro rano... biuro... zastępstwo chorego kolegi... (C. d. n.)

po południu, ul. Skarbkowska l. 39, jest zarazem punktem koleżeńskiego spotkania się, poradzenia i swobodnej pogadanki, a na przyszłość zawiązkiem obszerniejszych zebrań koleżeńskich.

Z zebranych na miejscu wiadomości widzimy stopniowy rozwój i życie młodego a wielce przez swoje zadanie i usiłowania sympatycznego Związku.

Pożegnanie dra Bilińskiego. Lwowska *Alma mater* żegnała dziś uroczyście jednego z swoich najlepszych synów, dra Leona Bilińskiego, który powołany na stanowisko prezydenta kolei państwowych, opuścił jej mury, gdzie przez długie lata siał światło pomiędzy młodzieżą, dzielił się z nią zdobyczami swej wiedzy i pracy, przyświecał jej wzniosłym przykładem i uczył ją, jak ma pracować dla dobra Ojczyzny i kraju.

Pożegnanie było uroczyste i serdeczne. Publiczność i młodzież uniwersytecka zgromadziła się bardzo licznie, cała sala, przystrojona w zieleń i kwiaty, wypełnioną była aż po brzegi, a nawet wielu z gości, który pomieścić się w sali nie mogli, stało na korytarzach.

Profesorowie Uniwersytetu zajęli w sali miejsce na estradzie; ubrani byli w czarne togi akademickie i birety.

Po godzinie jedenastej, poprzedzony przez pedli niosących berła uniwersyteckie, rektora i dziekanów wydziałów, wszedł do sali dr. Leon Biliński, ubrany również w togę profesorską. Chór akademików rusińskich odśpiewał na powitanie jego „Mnohaja lita". Gdy zaś chór ostatnie tony przebrzmiał, rektor Uniwersytetu prof. dr. Balasits, ubrany w szkarłatny rektorski płaszcz gronostajowy, z łańcuchem rektorskim na piersi, przemówił pierwszy. Zaznaczył on, iż *Alma mater* z takim żalem żegna swego syna, który opuszcza jej mury, ale pociesza ją ta nadzieja, że ten syn powołany zostaje na zaszczytne stanowisko, na którem jej przyniesie chlubę, a krajowi i społeczeństwu polskiemu pożytek. „Dewizą życia Bilińskiego — ciągnął dalej mówca — było: „wszystko dla nauki i przez naukę". Wierny temu hasłu, zdobył sobie zaszczytne imię w świecie naukowym, przykład uznanie i rzesze wielbicieli wśród szerszych sfer inteligentnych naszego społeczeństwa, pracą i nauką zdobył sobie wreszcie zaufanie Monarchy, który go na tak ważne powołał stanowisko. Stanąwszy na czele instytucyi, która ma wielkie znaczenie dla rozwoju dobrobytu i siły społeczeństwa, zapewne będzie dr. Biliński i nadal dla dobra monarchii i kraju, i na tem nowem stanowisku zarówno niespożyte położy zasługi. Uniwersytet żegna uroczyście tylko tych mężów, którzy prawdziwą moc i charaktera przyświecają wszystkim, którzy wybitne stanowiska zajęli w nauce i wielkie zasługi położyli około dobra społeczeństwa. Dziś żegna lwowska *Alma mater* wychowańca swego dra Bilińskiego, a na znak uznania dla jego zasług oddaje mu cześć najwyższą, jaką na jego godło nauki akademickiej. Mowę swą zakończył JM. p. rektor starą formułką łacińską: „et nunc sceptra academica te salutant". Podczas słów tych pedle pochylili przed dr. Bilińskim berła akademickie, a profesorowie zdjęli birety.

Drugi przemówił dziekan wydziału prawniczego, który skreśliwszy w krótkości życiorys dra Bilińskiego i dzieje jego działalności na Uniwersytecie lwowskim, pożegnał go w imieniu jego kolegów, profesorów wydziału prawniczego.

W imieniu polskiej młodzieży akademickiej przemawiał p. Maksymilian Lityński, skarbnik Czytelni akademickiej. Złożył on dr. Bilińskiemu hołd w imieniu młodzieży, którą on przez długie lata nauczał i oświecał.

W imieniu akademików ruskich, przemówił po rusku przewodniczący ruskiego stowarzyszenia akademickiego „Watra".

W końcu zabrał głos dr. Biliński. „Mocno jestem wzruszony — rzekł on — tą uroczystością, że nie wiem czy potrafię podziękować Wam panowie za tyle dowodów uznania i przyjaźni. Gdy wszedłem do tej sali, stanęły mi żywo w pamięci dawne chwile, przypomniałem sobie, jak przed 30 laty tu, na tem miejscu składałem przyrzeczenie akademickie, jak w 5 lat potem tu ze wszystkiemi sfer otrzymałem godność doktora praw. Dawne to czasy, lecz czasy wielce ważne i doniosłe. Wrzała wówczas cicha, ale zacięta walka o język wykładowy na naszej wszechnicy. Walka ta zakończyła się zwycięstwem dla nas. Powołany na zaszczytne stanowisko profesora starałem się wszelkiemi siłami odpowiedzieć temu wzniosłemu zadaniu. Później wszedłem w wir życia publicznego, odczuwałem to bardzo dobrze, iż biorąc w niem udział zaniedbuję może obowiązki profesorskie, nie wypełniam ich tak jak powinienem, lecz dodawała mi otuchy ta okoliczność, iż działając na szerszej arenie po za murami wszechnicy nie przynosiłem uniwersytetowi wstydu. Duchem też zawsze pozostanę z nim złączony". W dalszym ciągu p. Biliński, iż powołany na ważne stanowisko prezydenta kolei państwowych, wytęży wszystkie swe siły, aby pracować dla dobra Monarchy, państwa i kraju i nie zawieść zaufania, jakie w nim położono.

Wreszcie zaznaczył dr. Biliński, że prawdziwą radością napełnia go to, iż na pożegnanie usłyszał tu przemówienia reprezentantów młodzieży polskiej i ruskiej. Jestto dowodem, że między młodzieżą panuje zgoda, nie ma nienawiści narodowościowej. Wezwał więc na dziej, aby zgodę tę pielęgnowała, a potem, wyszedłszy z uniwersytetu, razem pracowała dla dobra kraju.

Przestrzegł też mówca młodzież przed niebezpieczeństwem grożącem jej w dobie obecnej. Z wielkim naciskiem zaznaczył, że młodzież zawsze powinna unikać i wystrzegać się jak najstaranniej tych, którzy chcą przedewszystkiem osłabić w niej wiarę w Boga i wiarę w Ojczyznę.

Gdy dr. Biliński skończył, rozległ się w sali okrzyk „Niech żyje!", a chór ruski zanucił pieśń.

Następnie wszyscy profesorowie i niektórzy z zaproszonych gości udali się do sali konferencyjnej, gdzie w imieniu profesorów uniwersytetu ks. dr. Filarski wręczył dr-owi Bilińskiemu jako upominek wspaniałe album z fotografiami członków grona nauczycielskiego wszechnicy lwowskiej.

Na tem skończyła się uroczystość pożegnania.

Honorarya z gadzinowego funduszu. Księgarnia Cesara Schmidta w Zurychu zapowiada sensacyjne wydawnictwo p. t. „Za kulisami funduszu welfickiego." Wiadomo, że z majątku zagrabionego z hanowerskiej rodziny królewskiej utworzył Bismark t. zw. fundusz gadzinowy (czyli welficki), którym sam zawiadywał, nie składając nikomu rachunku. Funduszem tym miał Bismark zwalczać agitacyę zwolenników hanowerskiej rodziny królewskiej.

W dziele wydanem przez Schmidta książce znajdować się będą facsimilia stu kwitów rozmaitych ludzi na otrzymane z funduszu tego od roku 1868 do 1890 honorarya. — Między niemi znajdować się mają kwity ministrów, jenerałów, oficerów, sędziów, posłów, redaktorów pism w różnych państwach Europy, urzędników dworskich, dam dworskich, lekarzy, studentów na zagranicznych uniwersytetach, ajentów politycznych i wielu innych.

Związek złodziejski między uczniami gimnazyalnymi. W Giessen stawać będzie w tych dniach przed kratkami sądowemi 13 wyższych tercyanerów i niższych sekundanerów, którzy utworzyli między sobą tajny związek nie w celach jakich idealnych, ale związek złodziejski. Członkowie tego związku kradli wszystko, co tylko było możliwem: cygara, cygarniczki, etuis, rękawiczki, kufle do piwa ubrania, i t. p., poczem dzielili się wspólnie ukradzionemi przedmiotami. Związek ten piękny miał nawet osobne swoje godła i odznaki. Proces ten wywołał wielką sensacyę w Niemczech.

Z miasta otrzymaliśmy następujące pismo: „Mieszkając na ulicy Łyczakowskiej, codziennie mam sposobność być naocznym świadkiem scen nader przykrych.

Otóż ludzie, zajmujący się handlem piasku z pól „Kaiserwaldu" posiadają nader nędzne konie, a tęgie baty, które częstokroć kijami zastępują, a wziąwszy pełną skrzynię i kilka worków piasku, nie starają się wcale obliczyć ciężaru z siłami wynędzniałego i bezsilnego wskutek głodu, konia.

Jadąc górną częścią ulicy Łyczakowskiej, napotyka się drogę spadzistą, więc tam jeszcze pół biedy, ale od ulicy Żelińskiego poczyna się droga równa, a z nią i prawdziwa męka dla tych paryasów rodu końskiego Biedne stworzenie nie jest w stanie uciągnąć włożonego nań ciężaru, piaskarze kijami i batem, ćwiczą je bez miłosierdzia

Zdarzyło mi się raz przy podobnej scenie ujrzeć policyanta, który nie umiał dać sobie rady, co ma przedsięwziąć, by ulżyć biednemu koniowi.

Ze względu więc na ludzkość sądzę, iż należałoby coś uczynić, by zapobiedz temu barbarzyńskiemu pastwieniu się nad końmi, przestrzegając, aby brano ciężar mniejszy, z drugiej zaś strony odpowiednie władze powinnyby pouczyć policyantów, by na przyszłość wiedzieli, jak się w podobnym wypadku zachować".

Ospa pojawiła się w Przemyślu.

Na stacyi w Hadynkowcach, pod Husiatynem, dnia 23 bm. o godzinie 9 rano, podczas krzyżowania pociągów, lokomotywa przejechała kobietę, a konduktor, który chciał ją ocalić, został skaleczony.

Temperatura Termometr + 2° R. Barometr 770° Spada. Pogoda prześliczna. Rano była lekka mgła.

Zmarli. Ferdynand Szmid, sekretarz magistratu, zakończył życie w Śniatynie dnia 22 b m. w 46 roku życia. Ś. p. zmarły bił się w r. 1863 pod komendą jenerała Gołuchowskiego przy konnicy, i odznaczył się jako dzielny żołnierz.

Z Liska nam piszą:

Czytam prawie codziennie w łamach waszego pisma, że ten lub ów z naszej zacnej publiczności przyczynia się rozmaitemi ofiarami do podźwignienia z nędzy cierpiących i opuszczonych. To też mam nadzieję, że Szanowna Redakcya nie odmówi i mnie swej gościnności dla opisu szlachetnych a dotąd nieznanych czynów jednej z najzacniejszych rodzin naszych; myślę bowiem, że ogłoszenie takich czynów może się stać wzorem, przykładem i podnietą do działania w tym kierunku dla całego naszego społeczeństwa, a zarazem niech ono będzie hołdem wdzięczności i serdecznem uznaniem dla cichej ale wielkiej zasługi.

Przez długi szereg lat przypatruję się dobroczynnej działalności obojga hrabstwa Krasickich z Liska. Widzę ustawicznie, ilu to w Lisku ubogich ludzi ma od nich prawie stałe zapomogi, a to rozmaitemi sposobami: gotówką, prowiantami, kaszą, cukrem, mięsem, solą, opałem, odzieżą i lekarstwami. A nietylko takim potrzebującym świadczą oni dobrodziejstwa, którzy się sami zgłoszą, lecz zarazem starają się różnemi sposobami dowiedzieć się o nędzy, która milczy i wstydzi się wyciągnąć dłoń po jałmużnę. — [illegible] fakta codzienne, które trudno zliczyć; ale są oprócz nich także i znaczniejsze.

W czasie pożaru miasta Liska spaliło się 235 domów, które potem odbudowane zostały przeważnie z ofiarowanego przez hr. Krasickich materyału; wszystkich uboższych pogorzelców przez cały rok żywili, dając po kilkaset kilogramów mięsa, zarówno dla katolików jak i dla żydów, sprowadzali także umyślnie dla nich koleją mąkę, kaszę, kukurudzę.

Dach na kościele zniszczony odnowili i blachą pokryli wyłącznie swoim kosztem.

Można więc śmiało powiedzieć, że gdzie tylko potrzeba jakiej pomocy, tam zacni hr. Krasiccy są pierwszymi i bez wezwania spieszą.— To też w imieniu wszystkich tych, którzy doświadczyli od nich łaski i dobrodziejstwa, składam serdeczne „Bóg zapłać!" wraz z życzeniem, aby Bóg zachował ich jak najdłużej dla dobra ubogich. *A. Z.*

Ze Zbaraża donosi nam ks. Marcin Krupiński, gwardyan i administrator tamecznej parafii, że nieprawdziwą jest wiadomość podana przez dzienniki, jakoby dnia 20 bm. okradziono tam kościół. — Kradzieży w zbaraskim kościele nie popełniono żadnej.

Teatr Dziś w sobotę (27 b. m.) o godzinie siódmej wieczorem: „Opowieści Hoffmanna", opera fantastyczna w 4 aktach a 5 obrazach J. Barbier'a. Muzyka J. Offenbacha. — Jutro w niedzielę po południu o godzinie 3: „Kupiec wenecki", komedya w 5 aktach W. Szekspir'a, z p. Fiszerem w roli tytułowej Wieczór o godzinie 7: „Carmen", opera w czterech aktach Bizet'a. Szósty gościnny występ pani Eriny Conti-Borlinetto, primadonny opery w Medyolanie, występ pp. Bernharda i Warmutha. — W poniedziałek „Tancerka" fragment sceniczny w 1 akcie z dramatu Cossy p. t. „Nero" w układzie Kaszewskiego. Debiut pań Anieli Bogusławskiej i Wandy Stępniewskiej uczennic p Józefa Kotarbińskiego. „Pierwszy bal" komedya w 1 akcie Zygmunta Przybylskiego, po raz pierwszy „Lolota" komedya w 1 akcie Meilhaca i Halevy'ego. „Schadzka" komedya w 1 akcie Zygmunta Przybylskiego.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Sztuka „Na szarym końcu" przedstawiona u nas wczoraj, wyszła z pod pióra Oskara Blumenthala, głównego dostawcy sceny nadwornej w Wiedniu i teatru Lessinga w Berlinie. Ponieważ w dzisiejszej notatce chcemy się jak najbardziej streścić, więc możemy o tej sztuce powiedzieć w ogóle, że nic nadzwyczajnego o niej powiedzieć nie można. Jest to robota literacka w całości dobrze opracowana, lecz widno w niej więcej talentu fejletonisty, aniżeli temperamentu dramaturga. Są w niej sceny i chwile niektóre bardzo szczęśliwe, lecz brak jednolitej systematycznie rozwijającej się akcyi jest powodem, dla którego sztuce tej nie można większej nad mierną przypisać wartości.

I licznie w teatrze zgromadzona publiczność, nie wchodząca może bliżej w ocenę rzeczy z artystycznego punktu widzenia, przyjęła sztukę dość życzliwie, bez zachwytu dla autora, natomiast z całem i ciepłem uznaniem dla naszych artystów, którzy starali się i z powodzeniem ożywić nieco za rozwlekły fejleton sceniczny, jakby naszem zdaniem sztukę właściwie nazwać należało. Szczególnie podnieść należy dobrą grę pań Pankiewiczówny i Czaplińskiej, oraz pp. Woleńskiego, Chmielińskiego i Feldmana.

Do treści sztuki, wcale przyzwoitej choć opartej w części na banalnym już temacie wiarołomstwa, w części zaś na rzadkim przykładzie prawdziwego uczucia i poświęcenia, powrócimy jeszcze w następnem obszerniejszem sprawozdaniu. *R. P.*

* **Galic. Towarzystwo kredytowe ziemskie.** Dr. Władysław Ostrożyński napisał pamiętnik tej pierwszorzędnej obywatelskiej instytucyi naszego kraju, w którym zestawił całe dzieje jej powstania i wszystkie koleje, jakie przez czas półwiekowego istnienia przechodziła. Pamiętnik ten wydała Dyrekcya towarzystwa kredytowego własnym kosztem.

* **Kot domowy.** Obrazek z historyi naturalnej. Skreślił Mikołaj Rybowski kierownik szkoły ludowej. Kraków 1892. W sporej książeczce opisał autor pochodzenie, gatunki, sposób życia, zmyślność, wady i zalety tego nieodzownego mieszkańca naszych domostw. Wszystko opowiedziane jest w żywy i barwny sposób, a do urozmaicenia książki, którą i tak czyta się z ogromnem zajęciem, przyczynia się mnóstwo przykładów z życia kota. Interesujący jest także zbiór legend i baśni ludowych o kocie, jakoteż zbiór przysłowi i zabobonów, w których odgrywa on główną rolę Sumienny autor wyczerpał przedmiot aż do dna, gdyż nie pominął nawet nazw roślin, gór, rzek, miejscowości i nazwisk ludzkich, urobionych od kota. Rozprawkę p Rybowskiego szczerze polecamy.

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 26 lutego.

W miarę, jak z pasy żyta w Prusach zaczynają się wyczerpywać, występuje na jaw większy popyt, a dla naszego żyta otwierają się widoki na eksport. Wprawdzie dotąd obroty w ciasnych jeszcze odbywają się granicach, lecz pewne polepszenie tendencyi jest widoczne, a wyższe żądania, jakie w skutek tego stawiają, do pewnego stopnia znajdują uwzględnienie

Płacono: za pszenicę białą od 11.85—12.25, za czerwoną od 11·65—12·10, za żółtą od 11.60 do 12·10 zł., za żyto 10.50 do 10 90 zł.; za jęczmień browarny od 7·80 do 8 35 zł.; na paszę od 7 25 do 7·75 zł.; za owies od 6 80 do 7·30 zł.; rzepak od —·— do —·— Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 25 lutego.

(*Z*). Wczorajsza mowa cesarza niemieckiego na uczcie brandenburskiego sejmu prowincyonalnego wywołała popłoch na giełdzie berlińskiej. Żydowscy matacorzy tamtejszej giełdy, widząc, że ostrze tej mowy wyłącznie przeciw nim jest zwrócone, rzucili się na renty niemieckie i obniżyli ich kurs, nadając mowie cesarza znaczenie symptomatu wojennego. Także na naszym targu dyskutowano wiele nad tą mową, a łatwo pojąć, że i nasi giełdowcy nie byli z niej zadowolnieni. To też, pomimo, że dziś ogłoszony ma być bilans zakładu kredytowego i pomimo skrętnie zapowiadanego korzystnego rozdziału dywidendy, nie mógł kurs tego kierującego naszą giełdą papieru nie tylko podnieść się, ale nawet na wczorajszej wysokości się utrzymać.

Kolejowe papiery ucierpiały dziś, bo wbrew wczorajszym pogłoskom mówiono dziś, że zaprowadzenie podatku transportowego jest bardzo bliskie. — Niekorzystne usposobienie naszego i berlińskiego targu podzielał dziś także Paryż. — Giełda tamtejsza bardzo skonsternowana jest tem, że prezesem ministrów nie będzie jej ulubieniec minister finansów Rouvier. Spadły więc dotkliwie renty francuskie i wszystkie inne papiery, nie wyłączając losów tureckich, które dziś miały specyalny powód do zwyżki. — Ugoda bowiem między wierzycielami a rządem tureckim przyszła stanowczo do skutku i wypłata wygranych podniesioną zostanie z 58 na 73 procent.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 309 75, węgierskie 346.75, Anglobanki 157 75, Uniony 237·25, Bankvereiny 112·75, Länderbanki 206·40, Ludwiki 211·75, Czerniowieckie 246 50, Renta papierowa 94·85, srebrna 94·30, austryacka złota 110 80, papierowa 102 60, węgierska złota 107 90, papierowa 102 20, dukat 5 55. 20 frankówka 9 37½. marki 11·58, ruble 1 16½.

Telegramy „Przeglądu"

Berlin 27 lutego (pryw). W różnych punktach za miastem urządzają agitatorowie socyalistyczni zgromadzenia robotnicze, wygłaszają namiętne mowy i krytykują w sposób nieprzyzwoity ostatnią mowę cesarza. Budowniczy Kossler na jednem z takich zebrań sparafrazował ów ustęp mowy cesarza, w którym monarcha rzekł, iż jest jak ów admirał Drake, który stojąc na najwyższym szczycie gór centralnej Ameryki widział z jednej strony wzburzone bałwany Atlantyku a z drugiej ciche majestatyczne zwierciadło Oceanu Spokojnego. Kossler rzekł: „Jestem jak naczelnik plemienia indyjskiego, który stoi na wysokiej górze i widzi z jednej strony morze krwi, nędzy i ofiar gospodarki kapitalistycznej, a z drugiej strony, ciche, spokojne fale socyalnej demokracyi. — Nic nam nie pomoże tylko to, jeżeli będziemy dalej prowadzić czerwoną agitacyę". Po tem zgromadzeniu udali się jego uczestnicy czwórkami do miasta i śpiewali przez drogę Marsyliankę. Oddziały konnej policyi kilka razy zastępowały im drogę, wówczas demonstranci skręcali w boczne uliczki i maszerowali dalej. — Gdy warta z muzyką szła na odwach w zamku cesarskim, przyłączyli się demonstranci, a niektórzy z nich wołali: Chodźmy do cesarza! Przed zamkiem cesarskim musiała policya użyć wszystkich sił, aby rozpędzić motłoch. — Cesarz, dowiedziawszy się o demonstracyach ulicznych, kazał w tej chwili zaprządz konie do otwartego powozu i pojechał na ulicę pod Lipami, gdzie tysiące ludzi się roiło. Witano go serdecznie.

Liberalne dzienniki tutejsze wciąż krytykują w podburzający sposób mowę cesarza. *Vossische Zeitung* pisze, że gdyby wszyscy ci, których cesarz w swej mowie miał na myśli, wywędrowali z Niemiec, w takim razie stałyby się Niemcy trzeciorzędnem państwem. *Berliner Tagblatt* pisze, że gdyby wola cesarska miała być spełnioną, to 26 milionów ludzi musiałoby wyemigrować.

Londyn 27 lutego (pryw). Utrzymują, że rokowania między rządem pruskim a ks. Cumberlandem o zwrot mu funduszów welfickich rozbiły się, albowiem książę nie chciał podpisać deklaracyi, iż zrzeka się na zawsze praw do korony hanowerskiej i brunswickiej.

Rzym 27 lutego (pryw). W sferach robotniczych wre i kotłuje, ale w obec energicznej postawy rządu odeszła ochota do manifestacyj.

Dzienniki obliczają, że w danej chwili, po śmierci kard. Mermilloda, wakuje 14 posad kardynalskich.

W sferach parlamentarnych utrzymują, że margrabia di Rudini poszedł za daleko w oszczędnościach i że niczby nie szkodziło, żeby powiększył dług publiczny przez nową pożyczkę, a porobił wielkie obstalunki w fabrykach dla wojska lub rozpoczął jakie roboty publiczne i tym sposobem zatrudnił tłumy robotnicze. Lepiej bowiem — mówią niektórzy posłowie — żeby Włochy miały kilka lub kilkanaście milionów długów więcej, aniżeli żeby rewolucya socyalna rozbiła państwo i wywróciła tron.

Cudzoziemcy bogaci, przerażeni rozruchami motłochu, opuszczają tłumnie Rzym Właściciele hoteli i magazynów w rozpaczy.

Berlin 27 lutego Przedwczoraj w nocy powtórzyły się ekscesy uliczne. Rozbijano sklepy zegarmistrzów i kradziono przedmioty znajdujące się na wystawie. Wczoraj przez cały dzień odbywały się zbiegowiska na różnych miejscach. Policya musiała kilka razy zrobić użytek z białej broni.

W południe, podczas zaciągania warty na zamku królewskim, zebrało się wiele pospólstwa i chciało wtargnąć do zamku. Policya kilka razy wzywała tłum do rozejścia się, a gdy wezwania te nie skutkowały, rozpędziła go szablami.

Paryż 27 lutego. Bourgeois odmówił stanowczo utworzenia nowego gabinetu. Carnot powołał do siebie senatora Loubeta, który podjął się tej misyi.

Berlin 27 lutego. Wczoraj około godziny 2¾ po południu odbył cesarz w towarzystwie jednego adjutanta i dwóch konnych policyantów konną przejażdżkę przez rojącą się tłumami ludzi ulicę „pod Lipami" i udał się do Thiergartenu. Ludność witała cesarza entuzyastycznemi okrzykami.

O godzinie 3¼ wyjechał książę Henryk w otwartym powozie z zamku i przejechał także przez ulicę „pod Lipami". Witano go także serdecznie.

Ścisk wśród tłumów był już nieco mniejszy, w skutek czego część policyi odwołano do koszar.

Wiedeń 27 lutego. Wczoraj ogłoszono bilans Zakładu kredytowego, Dywidenda za rok 1891 wynosi 14 zł. od akcyi. Dwadzieścia procent czystego zysku, t. j około 430 000 zł. przekazano do funduszu rezerwowego.

Sofia 27 lutego. Ajent dyplomatyczny w Konstantynopolu dr. Wulkowicz, nie może dać żadnych wskazówek co do osoby zbrodniarza, który go zranił. Przypomina sobie tylko, że pewien Bułgar groził mu, iż go zabije — nie jest w stanie jednak opisać bliżej tego człowieka. Wczoraj po południu przedsięwzięli lekarze operacyę, otwarli jamę brzuszną i skonstatowali na grubej kiszce ranę 5 milimetrów długą, którą zaszyli. Stanowczą opinię o przebiegu choroby będą mogli lekarze wydać dopiero po dwóch dniach.

Sofia 27 lutego. Nie ulega wątpliwości, że zamach na Wulkowicza popełniono z motywów politycznych. W ostatnich depeszach z Konstantynopola wskazano poddanego rosyjskiego Porfirego Iwanowa jako domniemanego sprawcę zamachu. Ten Iwanow przydzielony był swego czasu rosyjskiemu jenerałowi Kaulbarsowi podczas jego misyi w Bułgaryi, razem z Kaulbarsem wyjechał ze Sofii i osiadł w Konstantynopolu. Niedawno miał Iwanow w pewnej traktyerni w Konstantynopolu opowiadać, że Wulkowicz zostanie zamordowany.

Konstantynopol 27 lutego. Wulkowicz umarł wczoraj wieczorem.

Berlin 27 lutego. Wczoraj po południu były znów zbiegowiska w centrum miasta. Policya rozpędziła tłumy bez trudności, tylko w kilku miejscach stawiali ekscedenci opór, skutkiem czego musiała policya użyć białej broni.

Paryż 27 lutego Dotychczasowi ministrowie Freycinet Rouvier, Devell i Bourgeois oświadczyli urzędownie, że zatrzymają swe teki także w gabinecie Loubeta. Loubet obejmie tekę spraw wewnętrznych, Roche prawdopodobnie tekę handlu, Cavignac robót publicznych, a Burdeau marynarki.

Sofia 27 lutego. Dzień urodzin księcia Ferdynanda obchodzono uroczyście, jako święto narodowe.

Na przedwczorajszym balu austro-węgierskiego towarzystwa dobroczynności był książę bułgarski; urządzono mu tam serdeczną owacyę.

Berlin 27 lutego. Wczoraj aż do godziny dziesiątej wieczorem starali się agitatorowie urządzić zbiegowiska — wszelako nigdzie nie przyszło do większych wybryków.

Kiedy cesarz udał się o ½9 do księstwa Meiningenskich, wtedy tłumy poczęły się gromadzić koło zamku, jednakże nie wywołały tam żadnych zaburzeń.

Socyalistyczny organ *Vorwaerts* ogłosił na czele numeru odezwę, wzywającą robotników, aby nie brali udziału w żadnych wybrykach, gdyż awantury i niszczenie cudzej własności, to nie są środki, za pomocą których klasa robotnicza może poprawić swój byt.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 27 lutego 1892

HOTEL FRANCUSKI Hr. B. Łoś z Kulmatycz. P. Madeyski ze Lwowa A. Sietecki z Jaworowa. A. Hauffe z Drezna. J. Strańsky, W. Löwy, J. Quittner z Wiednia.

HOTEL CENTRALNY St. Jabłoński z Rumunii. J. br. Wallisch z Młynisk. M. Osuchowski z Turczynowa. W. Madeyska z Parchacza. J. Flechner z Jasienia

Nadesłane.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla wszystkich prenumeratorów „Cennik towarów korzennych, win, herbaty i delikatesów" z handlu St. Markiewicza we Lwowie.

Towarzystwu ubezpieczeń **„Austryacki Fenix"** składamy za rzetelną i rychłą likwidacyę szkody, publiczne uznanie.

Lwów 26 lutego 1892.

M. Woliński i T. Kaczyński.

2940 I—1

PODZIĘKOWANIE.

Niniejszem poczuwam się do obowiązku złożyć tym wszystkim, którzy przyczyniali się do akcyi ratunkowej podczas pożaru mego młyna i domu, najserdeczniejsze podziękowanie; w pierwszym zaś rzędzie p. porucznikowi furgonów Wünschemu, który z kilkoma swoimi żołnierzami z prawdziwem narażeniem życia pracował około ratowania mojego mienia; następnie zaś p. podpułkownikowi Gessnerowi za energiczne kierownictwo akcją p. nadporucznikowi Kranzowi, pp. porucznikom Maurowiczowi i Wernerowi, p. komisarzowi Kostrzewskiemu, nakoniec pp. J. Salterowi, Smutnemu i Szelidze-Łyszkiewiczowi, którym zawdzięczam pierwszą doraźną pomoc w tem nieszczęściu; jakoteż całemu pogotowiu wojskowemu i policyi, która stawiła się natychmiast na miejsce katastrofy. Wreszcie miło mi podziękować pp. Schmelkesom, u których cała moja rodzina znalazła w tak krytycznej chwili serdeczną, prawdziwie polską gościnę,

Lwów dnia 27 lutego.

Leon Thom.

2928 1—1

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 27 lutego godz. 1. min. 45

Akcje kred.	308.75	Węg. kolej półn. wschodn.	200·—
Alpiny	6?·50	Wiedeńskie losy kom.	153 50
Kredyty węg.	345 50	Akcje tyton.	164·25
Anglobanki	156 40	Gal. obl. indem.	104 75
Uniony	236 —	Elbethale	226 —
Ludwiki	212.—	Länderbanki	205·25
Nordbany	285 50	Renta zł. węg.	107 60
Lombardy	84 62	Bankvereiny	112·50
Losy tureckie	37 8?	Renta węg. p.	102·05
Staatsbahny	281 —	Ruble	1·16·50
Czerniowieckie	246·50		

Usposobienie słabe.

Lwów Z Izby handlowej 27 lutego 1892.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.

	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	210	50	213	50
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	245	—	248	—
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	319	—	322	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	216	—

Listy zastawne za 100 zł.

	płacą		żądają	
Banku hip. galic. 5% 40 „	100	45	101	15
Banku hip. galic. 5% z 10% pr	107	50	108	20
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.	98	30	99	—
Banku krajowego 4½% wa.	98	50	99	20
Tow. kred. galic. 4% „ nieokr.	96	80	97	50
„ „ „ 4 „ „ 41½	95	10	95	80
„ „ „ 4½ „ „ 52 l.	99	40	100	10
„ „ „ 4 „ „ 56 „	94	70	95	40

3. Listy dłużne za 100 zł.

	płacą		żądają	
Z. G. kr. wł. (daw 6%) 3% w likw.	56	—	8	—
„ „ „ „ (daw. 5%) 2½% „	54	—	57	—

4. Obligi za 100 zł.

	płacą		żądają	
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	50	105	20
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	93	40	94	10
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	100	50	101	20
Kom. banku kraj. 5 prc. wa. I em.	100	—	100	70
Pożyczka kraj. z r. 1878 6 pr. w. a.	104	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	97	50	98	20

5. Losy.

	płacą		żądają	
Losy miasta Krakowa	21	—	23	—
„ Stanisławowa	29	—	31	—

6. Monety.

	płacą	żądają
Dukat holenderski	5.53	5.63
Napoleondor	9.33	5.43
Półimperjał rosyjski	9 50	—.—
Rubel rosyjski srebrny	1 22	1.32
„ „ papierowy . . .	1.15—	1.17 —
100 marek niemieckich	57 65	58 25

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak